



Kryminał z myszką

40

# Dom w górach

Kazimierz  
Korkozowicz

Kazimierz Korcozowicz

# DOM W GÓRACH

Kryminał z myszką – Tom 40

Wydawnictwo Estymator

[www.estymator.net.pl](http://www.estymator.net.pl)

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67562-25-6

Copyright © Tomasz Korcozowicz

Tekst: Czytelnik, Warszawa 1968, seria „Z jamnikiem”

W mglisty, jesienny ranek, szary i mokry, Al Salter żegnał świat.

Wyszedł z czerwonego budynku z rękami skrępowanymi na plecach, otoczony małą grupą mężczyzn. Grupa ta szybko przeszła podwórze wybrukowane płaskimi kamieniami i otoczone wysokim murem.

Pod dachem szopy było jeszcze zupełnie ciemno, nie tak ciemno jednak, by Al nie spostrzegł grubego słupa z poziomą belką u góry. Na końcu tej belki, zamocowanej skośnym zastrzałem, wisiała pętla z jasnego, nowego sznura.

Grupa zatrzymała się i Al Salter, pchnięty z tyłu, wstąpił na deski zapadni.

Monotonny głos prokuratora tłumila wilgotna, zawieszona mgła. Niektóre słowa brzmiały głośniejsze, inne rwały się i ginęły, jak gdyby roztopione w tej mgle. Kiedy skończył, do stojącego nieruchomo skazańca podszedł kapłan, czernią stroju zlewając się z mrocznym wnętrzem szopy.

Coś szeptał – widzieli jedynie jasną plamę wzniesioną ku górze twarzy. Po chwili odstąpił, wznosząc ramię. Jego dłoń nie dokończyła jeszcze kreślić w powietrzu znaku krzyża, kiedy człowiek stojący obok słupa szarpnął za rękojęść dźwigni. Kwadrat podłogi zapadł się w głąb, a sznur pod ciężarem ciała wyprężył się gwałtownie.

\*

Tonio Gonzales nie miał ostatnio dobrej passy. Wystarczył jeden rzut oka na jego ubranie, aby się o tym przekonać. Lewy but, wykrzywiony i koślawy, puszczał wodę szczelinami pęknięć, w drugim odstawał od podeszwy cały nosek.

Reszta ubioru Tonio w sposób harmonijny pasowała do jego obuwia. Drobne nitki strzępów bramowały rękawy jesionki, a wyświechtane rondo kapelusza zwisało smętnie nad twarzą, z której ściekały krople marcowego deszczu.

W szarudze wczesnego wieczoru migotały rzędem świateł uliczne latarnie. Kiedy je mijał, widać było jego przygarbioną postać, z rękami głęboko wsuniętymi w kieszenie jesionki. Roztapiała się w mroku, by w następnym kręgu światła znów się na chwilę ukazać.

W ciszy ulicy słychać było jedynie jego człapiące kroki.

Wreszcie ujrzał przed sobą smugę blasku, padającą z oszklonych drzwi na trotuar. Zbliżając się do nich jeszcze raz sprawdził, czy na dnie kieszeni spoczywa moneta – ostatnia, jaka mu pozostała.

Starczy na jedno grzane piwo. Co będzie potem, to się zobaczy. Nieraz był już pod wozem, a sześćdziesiąt lat życia nauczyło go ze spokojem znosić przeciwności losu.

Wnętrze pubu pełne było gwaru i tytoniowego dymu, wlokącego się pasmami wokół słabo świecących żarówek. Tonio zatrzasnął za sobą drzwi, które powtórzyły dźwięk dzwonka, jakim zabrzęczały przy otwarciu. W zatłoczonej salce pozornie nikt nie zwrócił uwagi na jego wejście.

Przysunął się do bufetu i położył swoją monetę na mokrą, cynkową blachę.

Kiedy otrzymał piwo, pił je małymi łykami, rozkoszując się ciepłym napętniającym mu żołądek. Obrócił się wolno ku sali i sponad brzegu kufla obserwował siedzących. Większość z nich znał i oni znali jego, nie było tu jednak zwyczaju zamieniania ukłonów.

Spoglądał kolejno na stoliki i zupełnie nieoczekiwanie spotkał się ze wzrokiem człowieka siedzącego pod ścianą. Był to tak jak i on człowiek stary, siwy, o twarzy pełnej zmarszczek. Odbijał jednak wyraźnie od otoczenia. Solidne, z dobrego materiału palto, nowy kapelusz i ciemny, jedwabny szalik dowodziły zamożności.

Ale nie z tego powodu Tonio zachłysnął się piwem, potem uciekł oczami i kaszlał dłuższą chwilę. Mimo obezwładniającego go strachu nie mógł jednak opanować się, by znów nie zerknąć w stronę ciemnego kąta przy ścianie.

Wówczas zobaczył, jak tamten kiwa na niego palcem. Gest był wyraźny, niedwuznacznie skierowany ku niemu i władczy. Tonio rad nierad ruszył w głąb mrocznej sali z kuflem wypełnionym jeszcze do połowy. Skoro już tak źle się stało, że się spotkali, uciekać nie było sensu. Zbyt dobrze wiedział, z kim ma do czynienia.

– Siadaj! – postyszał krótkie warknięcie, kiedy już zbliżył się do stolika.

Opadł ciężko na krzesło, aż piwo chlupnęło z kufła, pryskając kroplami na blat.

– Uważaj, stary durniu... – Obrażliwe słowa wypowiedziane były jednak spokojnie.

– Wypraszam sobie, Salter... – Gonzales zająknął się. – Pan nie ma prawa w ten sposób...

– Zamilcz! Taki parszywy pies jak ty nie ma nic do gadania!

– Nic do gadania? A dlaczego to? – Tonio zmrużył oczy, usiłując nadać głosowi ironiczne brzmienie.

Tamten mierzył go przez chwilę wzrokiem, zanim odezwał się cicho:

– Wiem, jak to się stało, że Holt dostał Ala.

Tonio skulił się na krześle. Strach, jaki na chwilę zmaćcił mu myśli, zrodził bunt i ślepią odwagę, bez rozeznania i umiaru.

– Żebyś wiedział!... Napisałem... – zaczął mówić, szybko łykając sylaby, jękając się, to znów powtarzając niektóre słowa. Wargi mu drżały, kapelusz przesunął się na tył głowy. Przechylił się do przodu, opierając o stół obie dłonie: – Tak, napisałem... i niech was obu piekło pochłonie! Wydałem Ala, bo to on zniszczył Jenny! Moją śliczną wesołą Jenny! Przez niego poszła na ulicę! Kiedy ją znalazłem, już za późno było na ratunek... I dlatego ja... Tak, masz rację, gdyby nie ja, Holt długo musiałby go szukać!

– Wiem to wszystko. Nic mi nowego nie mówisz.

Spokojny ton głosu Saltera sprawił, że Gonzales oprzytomniał.

– Jeśli wiesz, to czego chcesz ode mnie? – Chwycił za kufel i pił pożądliwie, z przechyloną do tyłu głową. Starcza grdyka chodziła mu szybko pod zmarszczoną skórą.

– Kosztowało mnie dużo trudu i pieniędzy, żeby po powrocie dojść, jak się to wszystko odbyło, gdyż wtedy byłem w Południowej Afryce. Ale obecnie znam całą sprawę dokładnie. Dlatego ci mówię: Jesteś parszywe bydlę, ale mścić się na tobie nie będę. Być może, że istotnie Al postąpił z Jenny nie tak, jak należało. Postanowiłem więc poniechać na tobie zemsty... – Przerwał na chwilę, patrząc uważnie w oczy towarzysza. – Ale tylko na tobie... – zakończył cicho.

Mimo że ostatnie słowa padły ledwie dosłyszalnie, Tonia przeniknęła dreszcz. Był zaskoczony, ale jednocześnie poczuł raptowną ulgę, jak gdyby piersi uwolnił gniotący je ciężar; było to zupełnie wyraźne, fizyczne odczucie swobodnego oddechu. Pragnął zakończyć tę rozmowę i odejść. Salter musiał wyczuć tę jego chęć, gdyż powiedział:

– Zaczekaj jeszcze chwilę. Teraz, kiedyśmy tamto wyjaśnili, możemy trochę pogadać.

– Chętnie – Tonio dopił resztę piwa i odstawił pusty kufel. W tonie jego głosu nie było jednak chęci, którą zadeklarował.

Salter zdawał się nie zwracać na to uwagi. Przyglądał się towarzyszowi z lekkim uśmiechem, wreszcie powiedział:

– Niezbyt ci się obecnie powodzi, co? Sprawy idą kiepsko?

– Ano, chwalić się istotnie nie ma czym...

– Mam dla ciebie propozycję. Możesz ją przyjąć lub nie. Jeśli odmówisz, nie będę miał urazy, ale radzę się zastanowić.

Tonio zmierzył go nieufnym spojrzeniem.

– Co za propozycja? Mówią, że już nie pracujesz...

– Dobrze mówią. Tego, co mam, wystarczy. Myślałem, że Al... – urwał i machnął ręką.

– No, dajmy spokój... Powiem ci krótko. Postanowiłem usunąć się i dokończyć życia w ciszy i samotności. Kupiłem dom – wygodny, obszerny dom. Stoi w górach, wprawdzie w

bezludnej okolicy, ale wokół szumi świerkowy las i jest spokój. Potrzebny mi jest służący. Jeśli chcesz, możesz objąć tę funkcję. Ostatecznie obaj jesteśmy już starzy, obaj straciliśmy nasze dzieci i dużo od życia już się nam nie należy. Dostaniesz pięć funtów tygodniowo, a teraz bezzwrotnie pięćdziesiąt na doprowadzenie się do porządku... Obrzucił Tonia krytycznym spojrzeniem. – Twoim obowiązkiem będzie przygotowywać posiłki – nie jestem zbyt wybredny – no i utrzymywać dom w porządku. Po prowiant do miasteczka będę jeździł sam. To wszystko.

Tonio przechylił się do przodu, oblizując wargi końcem języka, jak gdyby pozostały tam jeszcze resztki piany.

– Nie knujesz jakiegoś świństwa? – mruknął.

– W stosunku do ciebie? – prychnął pogardliwie Salter. – I jeszcze ci płacić? Jesteś niespełna rozumu.

Gdybym chciał, za godzinę znaleziono by twoje zwłoki z nożem w boku. Chyba nie wątpisz?

Tonio istotnie nie miał co do tego wątpliwości. Był bez pieniędzy, Salter wyraźnie miał ich dość. W tych warunkach nie mogło być mowy o rozgrywce. Nie miał żadnych szans.

Poczuł się bardzo stary i zrozumiał, jak dalece jest bezradny.

– To ładnie z twojej strony, Salter, że pomyślałeś o mnie – powiedział z bladym uśmiechem. – To doprawdy ładnie, że wyciągasz do mnie rękę. Będę się starał, żebyś był ze mnie zadowolony.

– O to chodzi. I nie żaden Salter. Zapomnij o tym od tej chwili.

Gonzales skinął głową.

– Tak, sir.

Tamten sięgnął w zanadrze i wyciągnął portfel.

– Oto gotówka. Pojutrze o godzinie osiemnastej masz być na Eusten Station, należycie ubrany i wyekwipowany. Czekać na mnie przy przechowalni bagażu. Zrozumiałeś?

– Tak, sir.

\*

Tom odstawił pustą filiżankę i sięgnął po gazetę. Dopiero wówczas zauważył dwa listy, które pod nią leżały. Pierwsza koperta zawierała zaproszenie na bazar dobroczynny na rzecz sierot po poległych policjantach. Druga była adresowana odręcznym pismem. Tom przeczytał swoje nazwisko i adres zastanawiając się przez chwilę, jaki charakter mógł mieć człowiek, który postawił te wysokie, spiczaste litery.

Koperta była biała, atrament zielony, a pismo wyraziste, nieregularne, dziwne. Zwrócił uwagę na stempel pocztowy.

– Kinloch? Ze Szkocji? – mruknął zdziwiony i rozerwał kopertę.

„Drogi Mr. Holt,

Moje nazwisko u dołu, na które zapewne rzuci Pan okiem, zanim przeczyta ten list, tylko początkowo wyda się Panu nieznanym. Potem przypomni Pan sobie, kim jestem, a właściwie, kim byłem. Natomiast, kim teraz jestem, chcę właśnie Panu powiedzieć. Jestem starym człowiekiem, któremu lekarz dał jeszcze kilka dni życia. Dlatego piszę do Pana.

Obecnie, kiedy patrzę wstecz, uświadamiam sobie to, czego nie spostrzegłem płynąc na fali, która mnie niosła. Poszedłem złą drogą i aczkolwiek zdobyłem na niej pieniądze, była to droga grzechu.

Nie jest jeszcze za późno, ale chyba nadeszła ostatnia chwila, aby chociaż częściowo naprawić krzywdy, jakie wyrządziłem. W tym celu pragnąłbym zastanowić się razem z Panem nad najlepszym zużytkowaniem majątku, a następnie byłbym rad, gdyby zgodził się Pan zostać jednym z likwidatorów mego testamentu. W pierwszym rzędzie chciałbym

rozważyć, jak najlepiej wykorzystać mój majątek w walce z przestępczością. Jednak rozstrzygnięcie tego problemu pozostawiam do ustnego omówienia.

Załączam czek na kosztą podróży, gdyż jestem przekonany, że nie odmówi Pan mojej prośbie, biorąc pod uwagę okoliczności całej sprawy, i będę miał przyjemność gościć Pana w swoim domu, stojącym wśród szkockich gór, w zacisznym świerkowym lesie.

Proszę przyjąć wyrazy poważania, jakim Pana darzę, od dawna znając Go ze słyszenia.

Patrick Salter”

W postscriptum był dopisek:

„Mieszkam w okolicy Kinloch. Do Edynburga ma Pan dobre połączenie «Latającym Szkotem», następnie należy przesiąść się na osobowy do Perth, a stamtąd autobusem do Kinloch. Dom mój znajduje się o pięć kilometrów od tej miejscowości. Proszę zapytać o starego Hamptona – za parę szylingów chętnie przewiezie Pana swoją bryczką. Jeśli Pan się pospieszy, mam nadzieję, że zastanie mnie Pan jeszcze przy życiu.”

Holt odchylił list, obejrzał czek, a potem zamyślił się głęboko.

W drzwiach ukazała się smukła postać kobieca. Twarz o nieskazitelnym owalu zdobiło dwoje zielonych oczu, najwspanialszych, jakie Tom spotkał kiedykolwiek w życiu. Zupełnie jasne blond włosy piętrzyły się niby strzecha, z której opadają pasma słomy. W całości dawało to – być może – obraz chryzantemy.

Odpięła fartuszek, rzuciła go na jeden z foteli i zbliżyła się do stołu.

– No, skończyłam! Daj mi teraz papierosa! – Siadła naprzeciw, podginając jedną nogę pod siebie i nie czekając na gest ze strony mężczyzny, sięgnęła do pudełka.

Po chwili dmuchnęła smugą dymu.

– Nad czym tak dumasz, mój chłopcze?

Tom strzelił palcami w leżący przed nim list. Papier podskoczył do góry i opadł przed Nelly.

– Masz, przeczytaj...

Przez chwilę panowało milczenie. Wreszcie kobieta uniosła głowę.

– To musi być straszne, takie spojrzenie za siebie, kiedy ma się zejść do grobu. Kim jest ten Salter?

– Swego rodzaju międzynarodową sławą. Wszystkie nie wykryte włamania, przeważnie do banków, to jego robota. Człowiek, którego w czasie jego zbrodniczej kariery ani razu nie udało się złapać, a próbowała tego policja różnych państw. My wiedzieliśmy o nim dużo, ale nigdy dość, żeby go nakryć.

– Mieszka teraz w Kinloch?

– Tak by wyglądało. Miałem o nim wiadomości, że od paru lat wycofał się z czynnego życia – mianowicie od śmierci syna. Człowiek o szatańskiej przebiegłości – oto kim jest Salter.

– Śmierci syna?... Coś sobie teraz przypominam... Tak, Al Salter i ten anonimowy list, po którym dopiero...

– Właśnie. Syn poszedł w ślady ojca, ale nie był tak sprytny. Został skazany i powieszony za zastrzelenie policjanta. Do dziś nie wiem, kto napisał ów list.

Nelly milczała przez chwilę. Z papierosa, który trzymała pomiędzy dwoma palcami, unosiła się wąska strużka dymu, wijąc się niebieską spiralą ku górze.

– Jak sądzisz, dlaczego ciebie chce wyznaczyć na wykonawcę swojej ostatniej woli?

– Właśnie myślałem o tym, kiedy weszłaś.

– Czy Salter wie, że to ty ująłeś jego syna?

– Przypuszczam, że wie.

– Może nie jest z nim tak źle? Może wcale nie jest chory?

– Cóż jest pewnego na tym padole?... – Tom spojrział żartobliwie na żonę.

Znów zamilkła i siedziała z opuszczoną głową. Wreszcie odezwała się z wyraźnym wzruszeniem:

– Och. Tom, mimo że ten list wydaje się być pełen szczerości, czuję dziwny lęk... Po prostu boję się... Intuicyjnie wyczuwam groźbę, która przebija z jego patetycznej treści.

– Już zaczynasz? Intuicja i tak dalej... – Tom uśmiechnął się.

– Panie Holt, nie tak dawno miał pan okazję przekonać się, że moja intuicja jest coś warta! Przypomnij sobie sprawę dwóch ślepców...

– Dobrze, dobrze... Jest coś warta! Wolę jednak, jak operujesz swoim niewieścim sprycikiem!

– Zatem: dlaczego kieruje tę prośbę właśnie do ciebie?

– Skąd wiesz, że tylko do mnie? Przecież pisze wyraźnie: „jednym z likwidatorów”.

Holt sięgnął po list, a Nelly odprowadziła wzrokiem jego rękę. Potem, gdy jeszcze czytał, spytała mimo woli ścisząc głos:

– Kto ferował wyrok?

– Sędzia Morton.

– A oskarżał?

– Sir Stanford.

– Byłoby więc ciekawe sprawdzić... – zawahała się, a lekki rumieniec zabarwił jej policzki.

– Brawo! – Holt przerzucił obie nogi przez poręcz fotela i zagwizdał marsza.

– Tom, więc i ty masz te same podejrzenia?

– O, święty Jeremiaszu! Znów ta intuicja!

– Ja ciebie tam nie puszczę! – Nelly nie podjęła zaczepki. – To szaleństwo dobrowolnie pakować się w pułapkę!

– Jeszcze nie wiem, czy istotnie nadeszły inne zaproszenia. Na decyzję mamy czas.

Obecnie przychodzi mi na myśl co innego... – urwał w pół zdania.

Bez słowa uniosła brwi, czekając na dokończenie myśli.

– Jeśli taki przebiegły lis jak Salter naprawdę ukartował jakąś sztuczkę, to musiał mieć pewność, że zaproszenie zostanie przyjęte.

– Ostatecznie w tym liście nie ma nic podejrzanego. Miał prawo przypuszczać, że usłuchasz wezwania.

– Już samo zestawienie nadawcy i odbiorcy musi wywołać podejrzenie. Na pewno wziął to pod uwagę. A zatem, jeśli postanowił ściągnąć mnie do siebie i ograniczył się do tego listu, dowodzi to, że stary Salter stracił formę!

– Ale przecież takie zaproszenie z własnym podpisem jest do pewnego stopnia gwarancją bezpieczeństwa! Trudno uwierzyć, by awizował się jako sprawca zbrodni! Jeśli natomiast ma zamiar dokonać zamachu po drodze, to czy nie prościej byłoby to zrobić na miejscu, w Londynie? Bez demaskowania swojej roli w takiej sprawie.

– Umiesz, dziecinko, myśleć logicznie i dlatego stanowisz curiosum wśród swojej płci. Ale nie znasz tego starego diabła. On właśnie zakłada, że będziemy rozumować logicznie. Jeśli istotnie coś tam upitrasił, znajdzie się i rozwiązanie – tylko kto wie, czy wówczas nie będę już wolny od wszelkich zainteresowań.

– Jesteś również curiosum wśród swojej płci, bo mówisz za dużo! Zadzwoń lepiej do Stanforda i Mortona.

Holt wstał z fotela i skierował się w stronę biurka. Obserwowała, jak nachylił się nad aparatem.

– Chciałabym bardzo słyszeć całą rozmowę.

Obrócił głowę z palcem utkwionym w tarczy.

– A więc włącz magnetofon. – Poczekał, aż podłączy przewody, i wykręcił numer. Kiedy skończył mówić, w milczeniu popatrzyli na siebie. Już z wypowiedzi Toma Nelly

mogła zorientować się, jaki był jej rezultat. Mimo to, kiedy tarcze zaczęły się obracać, pochyliła głowę i słuchała uważnie.

„Halo...” – głos był ochryply i opryskliwy.

„Czy mister Stanford?”

„Tak. Kto mówi?”

„Komisarz Holt. Cieszę się, że zastałem pana w domu”.

„Ach, Holt... Jak się masz, mój kochany? Właśnie zastanawiałem się, czy nie warto do pana zadzwonić...”

„Czy w sprawie listu, sir Stanford?”

Chwila ciszy, wreszcie znów ochryply głos:

„Właśnie, w sprawie listu z Kinloch...”

„Ten atak skruchy i mnie wydał się podejrzany. Dlatego chciałem się przekonać, czy na wykonawców testamentu zostali przewidziani ludzie, którzy brali udział w sprawie Ala Saltera.”

„Bardzo słusznie, mój chłopcze.”

„Jeśli więc okaże się, że i sędzia Morton...”

„Zapewne to właśnie się okaże.”

„Po rozmowie z panem połączę się z sędzią.”

„Morton od roku jest sparaliżowany. W każdym razie zadzwoń i daj mi znać.”

„Hm... Wątpię, aby Salter o tym nie wiedział.”

„No zobaczymy. Czekam na telefon.”

„Tak jest, sir.”

Rozległ się stuk odkładanej słuchawki. Po odtworzeniu rozmowy Nelly zatrzymała magnetofon i obróciła się do męża:

– A więc zaproszenie otrzymał i Stanford! Jemu również wydało się ono podejrzane!

– Dziwisz się? No, ale zadzwońmy do Mortona!

Kiedy Holt odkładał słuchawkę po odbytej rozmowie, jego twarz miała wyraz zaciętości, ale i troski. Nelly pochyliła głowę nad aparatem. Rozległy się głosy:

„Tu mieszkanie mister Mortona.”

„Czy mogę mówić z mister Mortonem?”

„Niestety, mąż nie jest w stanie podejść do telefonu. Kto mówi?”

„Tu Holt ze Scotland Yardu. Pani Morton?”

„Tak. Czego pan sobie życzy?”

„Chciałbym dowiedzieć się, czy mąż pani otrzymał zaproszenie do niejakiego Saltera z Kinloch?”

„Nie, takiego listu nie otrzymaliśmy.”

„Czy pani jest tego pewna?”

„Ależ oczywiście! Z powodu choroby męża całą korespondencję załatwiam sama”

„Hm... Zatem dziękuję pani.”

„Chwileczkę, panie Holt... Skąd ten list miał nadejść?”

„Z Kinloch.”

„Dobrze, że sobie przypomniałam! List z tej miejscowości otrzymała Beryl.”

„Kto to jest Beryl?”

„Nasza córka. Niejaki Salter wezwał ją celem sporządzenia testamentu. Beryl jest prawnikiem.”

„No i...”

„W związku z tym listem wyjechała wczoraj wieczorem do Szkocji.”

„Proszę mi opisać jej wygląd.”

„Panie Holt... – głos w telefonie nabrzmiął lękiem. – Czy... stało się coś złego?”



„Ależ nie, proszę pani! Spodziewam się spotkać pani córkę w Kinloch, a nie wiem, jak wygląda.”

„Jest szczupłą szatynką o pociągłej twarzyczce i szarych oczach. Mówią o niej, że jest ładna.”

„Jak była ubrana?”

„W szarą sukienkę z białym kołnierzykiem. Piaskowego koloru płaszcz o sportowym kroju i kolorowy szalik w kratę.”

„Dziękuję, to wystarczy.”

„Panie Holt! Czy doprawdy nic jej nie grozi?”

„Proszę być dobrej myśli. Do widzenia.”

Szpule obracały się nadal, mimo że głosy zamilkły. Nelly zatrzymała aparat i spojrzała na męża.

– Co robić? Tej dziewczynie grozi niebezpieczeństwo! – Głos jej zadrżał podnieceniem.

– Nie mógł dosięgnąć ojca, więc zwabił córkę!

– Jesteśmy chwilowo bezradni. Jak widzisz, moje przewidywania sprawdziły się szybko; stary Salter bynajmniej nie stracił formy. W ten sposób zmusza nas do wyjazdu. Ona jest już na miejscu, a jej los zależy od planu, jaki sobie ten szatan ukartował. Istnieje jednak szansa, że dziewczynę da się uratować, gdyż szybka śmierć ofiary nie daje tego rodzaju ludziom pełnego zadowolenia. On zapewne czeka z dalszą akcją na nasz przyjazd.

– Co teraz masz zamiar robić? – Nelly powtórzyła pytanie.

– Jechać możliwie natychmiast. List do panny Morton Salter wysłał o dzień wcześniej, wiedząc, że nie zostanie zidentyfikowany przez tę młodą osobę, która nie miała nic wspólnego ze sprawą jego syna. Natomiast założył, że ja i Stanford skontaktujemy się ze sobą, a następnie dowiemy się o jej wyjeździe, co postawi nas w sytuacji przymusowej.

– Dlaczego przymusowej? Czyż nie byłoby prościej zawiadomić policję w Perth? Niech jej natychmiast szukają!

– A nakaz rewizji? Na jakiej podstawie?

– Stanford nie mógłby tego załatwić?

– Nie wiem... zresztą wątpię, czy zechce pójść tą drogą.

– Dlaczego? – Głos Nelly zdradzał oburzenie.

– Z dwóch powodów. Pierwszy to ten, że negatywny wynik rewizji może przyspieszyć śmierć dziewczyny, a drugi – to obawa, że zostanie posądzony o chęć ukrycia się za mundury policjantów.

– Idiotyczne stanowisko! Doprawdy mężczyźni są jak dzieci!

– Nie rozumiesz tego. Uchylenie się od niebezpieczeństwa, mimo najbardziej racjonalnych powodów, ma zawsze brzydki zapaszek. Musimy rozegrać tę grę sami, bez względu na rezultat.

– Jesteście więc głupszy od Saltera. Cóż to za przebiegła sztuka!

– Tak. Nie ulega wątpliwości, że mamy do czynienia z dokładnie przemyślanym planem.

– Dzwon do Stanforda! Ciekawa jestem, jaką poweźmie decyzję. Ja w każdym razie jadę z tobą!

– Cooo?... – Holt przeciągnął słowo, przechylając się ku żonie. – Wykluczone, mój skarbie!

– Przecież już brałam udział w twoich akcjach!

– Ale ta nie jest dla ciebie. Jeśli pojedę sam, będę miał do pilnowania tylko jedną skórę

– a i z tym będzie dosyć kłopotu...

Sięgnął po rozkład jazdy i wertował go przez chwilę, potem zdjął słuchawkę z widełek.

Stanford również postanowił jechać. Tom miał wstąpić po niego jadąc na dworzec, gdyż zdecydowali podróż tę odbyć koleją.

– Stary upiera się. Wyraźnie nie chce, by ktokolwiek – nawet ja – posądził go o tchórzostwo. Załatwił już z Yardem sprawę mego wyjazdu.

– A on nie będzie ci przeszkadzał? – zapytała ironicznie.

– Każdy z nas odpowiada za siebie. Mimo wszystko zastanawiam się jednak, czy nie wziąć Scotta?

– Oczywiście, że wziąć!

Holt zmrużył oczy. Widziała jego suchą, skupioną twarz, której ostre kontury rysowała smuga światła padającego spod abażura biurkowej lampy.

– Tak... Scotta można wziąć – mruknął po chwili. Połączył się z Yardem. Rozmowa z Joe „Ślimakiem” trwała dłuższy czas. Następnie po dwóch telefonach znalazł młodego aspiranta.

– Więc nie pojedziecie samochodem? – rzuciła Nelly spoglądając w zamyśleniu na rozkład jazdy, leżący na stole.

– Nie. Wprawdzie nie złapiemy już Latającego Szkota, ale i następny pośpieszny będzie szybszy i pewniejszy niż auto.

– Co ci mam zapakować?

– Nic, bo nic nie będzie mi potrzebne, prócz latarki i tego cacka – wyciągnął z szuflady pistolet i wsunął go w zanadze marynarki. Po chwilowym namyśle sięgnął po zapasowy magazynek.

Kiedy Tom wyszedł, Nelly podeszła do okna. Po chwili zobaczyła jego wysoką, szczupłą sylwetkę w świetle pobliskiego neonu. Obrócił się i spojrzawszy w górę, uniósł rękę pożegnalnym gestem.

\*

W rezultacie rozmowy, jaką Stanford i Holt odbyli w komisariacie w Perth, który zresztą był już powiadomiony o ich przyjeździe, posterunek w Kinloch wzmocniono dwoma ludźmi przydzielonymi do dyspozycji aspiranta Scotta.

Było już późne popołudnie, kiedy obaj podróżni ulokowali się w tarantasie starego Hamptona. Mieszkał na skraju miasteczka, toteż wkrótce pozostawili za sobą jego ostatnie domki.

Bryczka toczyła się po asfalcie szosy z miarowym klaskaniem końskich kopyt. Wkrótce jednak skręcili na polną drogę i klaskanie ustało.

Dzień był ponury i mokry. Brudne płaty grudniowego śniegu leżały na stokach wzgórz, pomiędzy połaciami ciemnego lasu świerków i sosen. Po szarym, smutnym niebie, nieomal nad głowami jadących sunęły ciężkie chmury. Na szczytach pagórków strzępy tych chmur wlokły się po wierzchołkach drzew, miejscami kryjąc je zupełnie w mglistych oparach.

Z lewej strony widać było powierzchnię jeziora, która połyskiwała niby polerowana blacha. Po górskich stokach las schodził ku niemu granatowymi pasmami.

Po chwili bryczka wtoczyła się pomiędzy drzewa i obraz ten zniknął sprzed oczu Holta.

W lesie było nieomal ciemno. Po obu stronach drogi stały ogromne świerki z opuszczonymi w dół gałęziami, jak istoty ogarnięte rozpaczą i rezygnacją.

Holt odezwał się do siedzącego na kozle Hamptona:

– Dawno pan zna Saltera?

Stary obrócił się bokiem, ukazując pomarszczony policzek i zarys zagiętego ku dołowi nosa.

– Dość dawno – mruknął. – Od czasu, jak się tu sprowadził.

– To znaczy?

Chwila milczenia, którą wypełniło szarpnięcie lejcami.

– Ano, chyba już ze dwa lata.

– Że też chce mu się mieszkać w takiej okolicy? Pusto tu i smutno...

– Staremu towarzystwo już niepotrzebne.

– Nawet będąc starym, nie chciałbym mieszkać na takim odludziu.

Hampton nic nie odpowiedział.

– Przecież chyba ma rodzinę, przyjaciół? – ciągnął Holt. – Co prawda, aby go odwiedzić, trzeba organizować nieomal całą wyprawę!

– Toteż nikt go nie odwiedza. Żyje sam, tylko ze służącym.

– Więc istotnie nikt do niego nie zagląda? – zdziwił się Holt. – Wiem, że nie dalej jak wczoraj miała przyjechać młoda dama.

Hampton cmoknął na kuca, potem obrócił się jeszcze bardziej i rzucił zdziwione spojrzenie na Holta.

– Młoda dama? Czegóż miałaby tu szukać?

– Jak to, nie wiozł jej pan do Saltera? Mieliśmy się z nią spotkać! Wyjechała na dzień przed nami.

Stanford siedział bez słowa, przysłuchując się rozmowie.

– Nikogo nie wiozłem – Hampton odezwał się dopiero po pewnym czasie. – Miała przyjechać, ale widać nie przyjechała – dodał obojętnie.

– Salter zdobył się na kupno domu, a nie kupił samochodu?

– Samochód ma, taki sam leciwy jak on. Jeździ nim po żywność jego służący, ale już tydzień wóz stoi zepsuty.

– Może go naprawił i sam przywiózł tę damę?

– Chyba nie, bobym nie musiał panów odwozić.

Drzewa zaczęły nieco rzednąć, stawało się coraz jaśniej. Wkrótce pomiędzy grubymi pniami spostrzegli zarysy domu.

– Zatrzymamy się tu – rzucił Holt. – Ten kawałek już przejdziemy pieszo.

Hampton ściągnął lejce.

– Jak panowie chcecie, ale po co macie sobie brudzić obuwie?

– Droga nie jest tu błotnista, raczej pełna dziur i kamieni. Mimo to chętnie się przejdziemy. To zapewne ten dom?

– Ano tak. – Hampton przyjął pieniądze i uchylił lekko kapelusza. Potem już bez słowa skręcił pomiędzy drzewa, aby zawrócić. Po chwili zostali sami na drodze.

– Chce pan rozejrzeć się w otoczeniu? – zagadnął Stanford, strzepując z palta żdźbła słomy.

– Właśnie. Może pan zaczeka tu na mnie, sir? Z domu nie mogą nas jeszcze widzieć.

Stanford zapalił fajkę i skierował się w bok od drogi. Ten dystyngowany, starszy pan, z teczką w ręku, ubrany w ciemne palto i czarny kapelusz, spod którego widać było białe skronie, dziwnie wyglądał na surowym tle górskiego lasu. Zatrzymał się pod drzewem i ćmiąc fajkę cierpliwie czekał na powrót towarzysza.

Krople wody z szelestem opadały na ziemię. Las trwał w ciszy, groźny i ponury.

Upłynęło dziesięć minut, potem następne. Wreszcie Stanford ujrzał pomiędzy drzewami jasny płaszcz Holta.

– Nic. Pustka i cisza – mruknął podchodząc do towarzysza. – Dom otoczony jest zewsząd lasem i chaszczami. Trzeba by dziesięciu ludzi i kilku godzin czasu, aby należycie zbadać otoczenie.

– Zbytek ostrożności – stwierdził spokojnie Stanford. – Jeśli coś się stanie, akcja rozegra się wewnątrz domu. Co do tego nie mam wątpliwości.

– Podzielam pański pogląd, sir. Dlatego Scott musi być pod ręką.

– Niewiele on pomoże – burknął Stanford, wystukując fajkę o pień drzewa. – Gdzie go pan umieścił?

– Za domem. Znajduje się tam szopa i jakiś gospodarczy budynek.

- Będzie musiał okazać dużo cierpliwości. Zapewne zostaniemy tu na noc.
- Jest na to przygotowany.

Ruszyli w kierunku domu. Po chwili wyszli na otwartą polanę. Po lewej stronie las otaczał ją ciemnym półkolem, po prawej kończyła się krawędzią urwiska.

Dom był piętrowy, zbudowany z kamienia i bierwion, duży, zwalisty, o ciężkich konturach. Dwa kominy sterczały przesadnie wysoko ponad jego stromym dachem. Wszystkie okna były ciemne, a ostatnie blaski ginącego światła ślizgały się tu i ówdzie po szybach.

Panowała zupełna cisza. Drzewa stały nieruchomo, niby zastęp zamaryłych strażników. Ciemność wypełniła już głębię urwiska, które odsłaniało z tej strony daleką perspektywę krajobrazu.

Poza zarysami górskich stoków, hen, w dalekiej przestrzeni, nawisały warstwami chmury. Gdzieś w odległym krańcu tego bezmiar, niby pęknięcie w zasłonie, widać było długą szczelinę, poprzez którą przeświecało żółtą światłością szkliste niebo – pożegnalne spojrzenie uchodzącego dnia.

Wąska ścieżka prowadziła do kamiennego ganku o kilku stopniach. Drzwi były zrobione z grubych, dębowych płyt, a obok zwiisała rączka staroświeckiej kołatki, w kształcie smoka. Holt uderzył nią parokrotnie.

Echo tych uderzeń doszło ich gdzieś z głębi domu i znów zaległa cisza. Holt powtórzył sygnał, po czym oparł się plecami o framugę drzwi, zagłębiwszy obie ręce w kieszeniach płaszcza. Stanford stał przed gankiem ze wzrokiem utkwionym w okna na piętrze.

Wreszcie usłyszeli wolne, człapiące kroki. Zatrzymały się po drugiej stronie drzwi i dobiegł ich starczy, zachrypnięty głos:

- Kto tam?
- Oczekiwani goście – odezwał się Holt, głośniejszy, niż zamierzał, i oderwał się od futryny.

Najpierw stuknął rygiel, a później dwa razy przekręcono klucz. Drzwi się rozwarły. Holt przepuścił Stanforda, szedł jednak tuż za nim.

Znaleźli się w obszernym, podłużnym hallu. Ciemna boazeria pokrywała jego ściany do pół wysokości. Z jednej strony biegły szeregiem jelenie rogi służące za wieszaki, z drugiej znajdowało się dwoje drzwi. Jedne z nich, podwójne, szeroko rozwarte, ukazywały wnętrze dalszego pokoju. Wygodne drewniane schody biegły łukiem ku górze i ginęły za załamaniem muru.

Dwa kinkiety kute w żelazie oświetlały hall elektrycznym światłem.

Holt zwrócił wzrok na człowieka, który im otworzył. Zasuwał właśnie rygiel, po czym obrócił się i stał pochylony do przodu, niby w ukłonie, a jednocześnie jak gdyby nie mogąc powziąć decyzji, czy pogłębić ukłon, czy wyprostować plecy.

Człowiek był wysoki i chudy. Zwiędłą twarz pokrywały liczne zmarszczki, wielka grdyka sterczała ponad niskim kołnierzem brązowej kurty. Wreszcie wyprostował się i nie spuszczał z nich oczu, małych i jasnych, błyskających ostrym spojrzeniem spod nastroszonych, białych brwi. Holt postąpił ku niemu o krok bliżej.

- Czy pan Salter?
- Nie, pan Salter jest u siebie. Jestem jego służącym.
- Aha, zatem Tonio Gonzales – stwierdził Holt, przypominając sobie informacje otrzymane w Perth. – Tak więc, po burzach życia, znalazła się cicha przystań? Co, Tonio?
- Tak, panie komisarzu – westchnął Tonio nie ukrywając, że orientuje się, z kim ma do czynienia. – Na stare lata człowiek tęskni za spokojem.
- Zwłaszcza, jeśli nie jest to cela...
- Proszę zawiadomić pana Saltera o naszym przybyciu – odezwał się Stanford zdejmując palto.

– Natychmiast, sir. Jest mi wiadomo, że pan Salter oczekiwał panów. Obawiam się jednak, że nie będzie mógł zejść, gdyż w jego zdrowiu znów nastąpiło pogorszenie.

Odebrał z kolei palto od Holta i powiesił je na wieszaku.

Właśnie w tej chwili spoza załamania muru ukazała się postać starca schodzącego w dół. Nie patrzył na nich, gdyż uwagę jego pochłaniały stopnie schodów, na które wolno i ostrożnie opuszczał nogi. Palce ręki o pomarszczonej, żółtej skórze kurczowo zaciskały się na śliskiej poręczy.

Ubrany był w wiśniowego koloru szlafrok z czarnym szamerowaniem. Siwa głowa chwiała się lekko na boki.

Tonio na widok schodzącego pospieszył ku niemu, ofiarując pomoc, która została odtrącona niecierpliwym gestem. Wreszcie stanął na podłodze i uniósł głowę. Ujrzeni twarz o głębokich bruzdach, a w niej dwoje błyszczących, ciemnych oczu, spoglądających na nich z żartobliwym błyskiem źrenic. Wąskie wargi drgały w życzliwym uśmiechu.

– A więc jesteście, moi panowie! Cieszę się, że przyjęliście moje zaproszenie – mówił szybko i bez przerw, jak wyuczoną lekcję. – Podróż zapewne była męcząca, zatem zasadnicze rozmowy odbędziemy jutro, bo dziś nie czuję się zbyt dobrze! Przejdziemy teraz do jadalni, Tonio zaraz poda nam coś do jedzenia. Wybaczcie jednak, panowie, jeśli posiłek nie będzie zbyt wyszukany – jadamy tu skromnie.

Nie czekając na odpowiedź skierował się w stronę dwuskrzydłowych drzwi. Posuwał się żwawo, aczkolwiek niezbyt pewnie. Rozległ się trzask wyłącznika i ciemny pokój zaalało światło.

Stanford i Holt bez słowa skierowali się za gospodarzem. Jadalnia była ogromna, z wielkim stołem pośrodku, otoczonym krzesłami. Duża szafa kredensowa zajmowała jedną ze ścian. Ciężkie, pluszowe story zasłaniały trzy okna. Na prawo znajdowały się inne dwuskrzydłowe drzwi, również otwarte, prowadzące do następnego pokoju.

– Nie jesteśmy głodni i dziękujemy za posiłek – odezwał się Stanford. – Natomiast wolelibyśmy od razu załatwić sprawę, o którą panu chodzi, i wrócić przed nocą do Kinloch. Być może złapiemy jeszcze połączenie z Londynem.

– Odmawiacie posiłku? – Siwe brwi uniosły się ku górze. – Po tak długiej i uciążliwej podróży? Dlaczegoż to?

– Zależy nam na czasie – odparł krótko Stanford.

– Ależ to nie ma sensu! Wracać do Kinloch! Przecież nie pójdziecie, panowie, po ciemku parę kilometrów i do tego drogą pełną dziur i wyboi! Zapewne nie wiecie, jak wygląda wnętrze lasu w pochmurną noc? Nie zobaczycie nawet własnej ręki! Rozumiem, że może wam być pilno, ale chyba zostanieie do jutra... Proponuję rozpocząć rozmowę chociażby zaraz, a zakończyć ją jutro, tak abyście jeszcze za dnia mogli stąd wyruszyć. Wybaczcie szczerą, ale powrót po ciemku uważam za absurd!

Sytuacja rozwijała się zgodnie z ich przewidywaniem, toteż zaczęli realizować plan, jaki ustalili w czasie narady w komisariacie w Perth. Jednym z założeń tego planu było, aby Stanford prowadził rozmowę, a Holt – patrzył. W ten sposób każdy z nich mógł skupić całą uwagę tylko na swoim zadaniu.

– Dochodzę do wniosku – odezwał się Stanford – że istotnie ma pan rację. Wydaje mi się, że nie unikniemy tej zwłoki. Zatem zgoda, pozostaniemy tu na noc. Spodziewam się, że komisarz Holt podzieli mój pogląd.

Spojrzenie Saltera prześliznęło się z twarzy prokuratora na twarz Holta. Ten skłonił się lekko.

– Skoro nie macie, panowie, ochoty na posiłek, przejdźmy do biblioteki. Są tam wygodne fotele, jest ciepło i zacisznie.

Skinął na służącego, który stał w drzwiach i milcząc oczekiwał poleceń.

– Toniu, przynieś nam whisky.

Tonio zniknął w ciemnościach następnego pokoju, gdzie po chwili zabłysło światło. Holt odprowadził wzrokiem jego przygarbioną postać. Idąc na ugiętych kolanach, służący powłóczył nieco stopami po podłodze.

Salter zaprosił gości gestem ręki. Stanford pierwszy minął próg, za nim Holt, czujnie nasłuchując odgłosów za swoimi plecami.

I ten pokój był dużych rozmiarów, miał jednak dwa okna, również jak i w jadalni zasłonięte staroświeckimi storami. Nieco z boku stał okrągły stół zarzucony gazetami, przy nim parę krzesel. Dwie ściany zajmowały półki pełne książek. Pomiedzy oknami znajdował się podręczny bar, a na nim radio. Trzy duże skórzane fotele otaczały niski stolik przed wielkim kominkiem. Owalny dywan zaścielał środek pokoju.

Usiedli w fotelach. Na kominku jeszcze niedawno musiał palić się ogień. W jego obszernej głębi tliły się czerwone węgle.

Zanim rozpoczęli rozmowę, służący wniósł na tacy butelkę whisky, trzy szklaneczki i syfon z wodą sodową.

Tonio rozstawił szklanki i rozlał alkohol, po czym kolejno dodawał wody. Trzej mężczyźni bez słowa obserwowali jego czynności. Kiedy skończył, Salter natychmiast sięgnął po swój trunek. Holt, który nie spuszczał z niego oczu, zauważył, jak uśmiech przemknął mu przez usta.

– Panowie, proszę – powiedział, potem upił nieco zawartości. Pozornie nie zwracał uwagi na gości. Odstawił szklankę z resztą płynu i spojrzął na kominek.

– Toniu, dorzuć nam nieco drzewa. Przyjemniej będzie rozmawiać przy ogniu.

Służący odwrócił się, na chwilę przesłaniając gospodarza, a Stanford i Holt wymienili spojrzenia. Potem Stanford podniósł swoją szklaneczkę do ust. Holt poszedł za jego przykładem, rozważając jednocześnie:

„Istnieją dwa powody, dla których tu jesteśmy: ten istotny, znany jemu, i pozorny – znany nam. Stary łobuz zdaje sobie sprawę, że go podejrzewamy i mamy się na baczności. Ta atmosfera nie jest dla niego korzystna, będzie więc przede wszystkim usiłował rozproszyć naszą nieufność. W tych warunkach powinien zgodzić się na pokazanie nam domu. Ale czy to wystarczy, aby stwierdzić, co się stało z dziewczyną?”

Zabrał głos Stanford.

– Panie Salter, jesteśmy gotowi wysłuchać pańskich propozycji. Przyjęliśmy zaproszenie, uważając, że intencje są tego warte.

Salter słuchał kiwając głową.

– Mam teraz okazję – odpowiedział – aby podziękować panom za przybycie, czego dotychczas jeszcze nie zrobiłem. Jeśli zaś chodzi o moje intencje, to już je wyraziłem w swoim liście. Obecnie – uniosł głowę i popatrzył na nich z powagą – chcę jeszcze raz zapewnić najbardziej uroczyście, że nic innego nie leżało w moich zamiarach, jak tylko pragnienie zmazania – choć w tak nikłym stopniu – grzechów, jakie mam na sumieniu... Dodam jeszcze, że jestem człowiekiem stojącym nad grobem, i nieufność panów, którą wyczuwam, choć może zasłużona, boli mnie bardzo...

„Aha – pomyślał Holt – oto pierwszy obłoczek z dymnej zasłony.”

– Nie będę przed panem ukrywał, że zwrócił naszą uwagę dobór ewentualnych egzekutorów testamentu – zabrzmiał spokojny głos Stanforda. – Jest to dobór uderzający.

Uniosły się starcze brwi. Poziome zmarszczki na czole pogłębiły się, twarz Saltera wyrażała zdumienie.

– Uderzający?... – przeciągnął słowo i zamilkł, podkreślając w ten sposób, że czeka na dalsze wyjaśnienia.

„Nie boi się ataku z tej strony – zastanawiał się Holt – gdyż przygotował odpowiedź. Dlatego wszystko, co teraz powie, nie będzie miało żadnego znaczenia.”

Stanford sięgnął po szklaneczkę, upił mały łyk i wolno odstawił ją na stolik.

– Uderzający dlatego, że zaproszenia zostały skierowane do ludzi związanych ze sprawą pańskiego syna, Ala Saltera, powieszzonego za zabójstwo policjanta.

Słowa Stanforda padały odmierzane równym, spokojnym głosem. Holt ostentacyjnie przyglądał się Salterowi, nie spostrzegł jednak na jego twarzy żadnej reakcji. Nie drgnął w niej żaden mięsień. Dopiero po pewnej chwili jeden z kątów ust poruszył się lekko. Był to nikły ślad uśmiechu.

Po raz pierwszy od chwili przybycia do tego domu Holt doznał uczucia bezradności. Obecnie była to tylko lekka reakcja psychiczna, jednak stan ten pojawiał się później w znacznie silniejszym stopniu. Coś się tu nie zgadzało. Mimo wszystko, mimo największego nawet opanowania, ten uśmiech nie powinien był pojawić się na ustach Saltera. Odruch zaciętości, złości, przebiegłości – tak. Zupełna obojętność jako wyraz największego opanowania – również, ale nie to ledwo uchwytnie skrzywienie wargi. Było to ponad miarę zrozumienia, nie tłumaczyło się niczym, było wbrew wszelkim prawidłom rządzącym ludzką psychiką.

Holt zmarszczył brwi i sięgnął po papierosa.

– Nie przeczę, że tak jest istotnie – stwierdził Salter. – Taka była moja intencja.

Stanford rzucił zdziwione spojrzenie na mówiącego, ale milczał.

– Chodziło mi o to – ciągnął starzec – aby właśnie ci ludzie byli wykonawcami mojej woli. „Wydawało mi się, że inaczej moja chęć poprawy byłaby połowiczna, dotyczyłaby bowiem tylko spraw materialnych. Przyznaję, że taka decyzja nie przyszła mi łatwo, ale przemogłem się, aby ukorzyć duszę przed Panem, aby pogłębić moją skruchę przed Jego obliczem, aby przełamać swoje grzeszne serce i usunąć z niego to wszystko, co przeszkodzi mi w uzyskaniu przebaczenia Wiekuistego. I dlatego to właśnie was, panowie, prosiłem o przybycie. Niestety, nie wszyscy usłuchali mojej prośby... – Salter mówił jak gdyby sam do siebie, z głową opartą na rękę.

– Jak to?... Przecież jesteśmy u pana?

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI